

Jerzy Ziomek

Badania nad literaturą polską doby renesansu

Biuletyn Polonistyczny 19/1 (59), 115-125

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

najpojemniejszy pomnik prozy tej epoki - dziełem oryginalnym i także w Europie nie mającym odpowiednika; wartości naszego Średniowiecza albo nie były zauważane, albo mierzone fałszywymi narzędziami (na przykład proporcjami liczbowymi w stosunku do zasobu Francji i Włoch). Również dla badaczy znających na ogół polski zasób rękopiśmienny kultura literacka tego czasu kryje jeszcze wiele miejsc do odczytania. A dla wszystkich historyków literatury ważne będzie rzucenie światła na problem funkcjonowania Średniowiecza w późniejszych epokach naszej literatury.

Doc. dr hab. Julian Lewański

BADANIA NAD LITERATURĄ POLSKĄ DOBY RENESANSU

Przedstawiam niniejszym swoje opinie o stanie i potrzebie badań w zakresie literatury doby renesansu i - przy okazji - w zakresie teorii literatury i metodologii badań. Układam je w kolejności pytań (wg numerów) postawionych w ankiecie Komisji d/s Planu Naukowego Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej PAN. Niektóre z pytań opuszczam, jeśli odpowiedź wydaje mi się zbyt oczywista lub jeśli w danej kwestii nie mam wyrobionego zdania.

1. W badaniach nad renesansem powinny być przede wszystkim podjęte próby monograficznego opracowania poszczególnych pisarzy. Taki postulat może wydać się zbyt banalny lub tradycyjny, ale - odnotowawszy w staropolszczyźnie z wielkim uznaniem badania nad świadomością teoretyczną epoki, nad poetykami, zarysy monograficzne gatunków itd. - z pewnym niepokojem stwierdzam odwrót od sztuki interpretacji dzieła literackiego. Oprócz Szarzyńskiego żaden pisarz epoki nie ma nowoczesnej monografii. Sam siedzę nad Kochanowskim. A Rej? Wiem o cennych przyczynkach, ale nic nie zapowiada monografii. A co dopiero mówić o pisarzach pomniejszych! Tłumaczenie się lukami w stanie badań nie jest żadnym usprawiedliwieniem w oczach czytelnika, który czyta "Marcina

Bielskiego" Ignacego Chrzanowskiego z r. 1906 czy "Szymona Szymonowicza" Kornelego Hecka z 1900 r.!

Poważny niepokój budzi stan wiedzy o literaturze łacińskiej w Polsce XVI w. Znam ledwie dwie osoby z wykształceniem polonistycznym i klasycznym dysponujące nowoczesną świadomością teoretyczną, a więc zdolne do podjęcia badań polono-latynistycznych. To bardzo mało, zważywszy, że poziom filologii klasycznej w Polsce i jej programy badań (jeśli takowe w ogóle istnieją), choć zasługują na szacunek należy każdy erudycji, nie wykroczyły poza dziewiętnasty wiek.

2. Wyposażenie metodologiczne badaczy oceniam wysoko. Tym bardziej stanowczo wytknąłem w poprzednim punkcie niedostatki i niewłaściwy program, że kadra w dziedzinie staropolszczyzny, stosunkowo liczna i dobrze zorganizowana dzięki stałym zebraniom pracowni IBL, może sprostać zadaniom, o których będę jeszcze mówił w następnych punktach.

3. Rozwój badań literackich jest z natury rzeczy powiązany wieloma nićmi z najrozmaitszymi dyscyplinami bliżej lub dalej sąsiadującymi – poczynając od lingwistyki i historii poprzez filozofię, antropologię, historię sztuki, religioznawstwo aż do matematyki. Trudno odpowiedzieć, które z tych związków powinny być szczególnie obserwowane, bo to zależy od tematu danej pracy. Zresztą, postawa polonistyki na większości uczelni oraz w Akademii jest postawą otwartą i wrażliwą na związki interdyscyplinarne. Widzę inne, poważniejsze luki, choćby te, które omawiam w punkcie następnym.

4. Stan przekładów jest fatalny. Jedynie "Pamiętnik Literacki" robi, co może, ale potrzeb w dziedzinie badań nad renesansem zaspokoić nie potrafi, bo tu potrzeba by przekładów obszernych książek. Wydawnictwa zupełnie nie orientują się, co można by wydać, albo nie doceniają i nie rozumieją propozycji, jeśli im się takowe podsuwa. Burckhardt i Huizinga – to dla naszych wydawców ostatni głos nauki europejskiej. Z rzeczy nowszych wydano fatalną książkę Angyala, bez której przekładu by się obeszło. Trzeba koniecznie przełożyć H. Lausberga – nie tylko dla staropolszczyków (wiadomo mi, że taką propozycję Ossolineum odrzuciło), ale dla wszystkich polonistów! Tak samo E. R. Curtiusa! To tylko przykłady prac, które muszą być dostępne w całości jako książki. Fragmenty

w "Pamiętniku Literackim" są niezrozumiałe poza kontekstem dzieła podręcznego (Handbuch). Prawem przykładu tylko wymienię jeszcze książki Weinberga, Bachtina, Toffanina, które zainteresować mogą badaczy różnych epok.

Sądzę, że KNoLP mogliby ustalić listę najpilniejszych potrzeb w tym względzie i mocą swego autorytetu skłonić wydawnictwa do poczynienia odpowiednich kroków.

5. a) O potrzebach opracowań monograficznych (monografii pisarzy) piszę powyżej.

b) O syntezie historycznoliterackiej zmilczę.

c) Widzę pilną potrzebę opracowania (przydatnego zresztą dla różnych epok i specjalności) "Retoryki opisowej" czy jakiegoś "Zarysu retoryki" jako podręcznika akademickiego analogicznego do "Zarysu teorii literatury" czy przynajmniej tej części "Zarysu", która jest poetyką opisową. Przydatność podręcznika retoryki łatwo uzasadnić: dział ten zaczyna we współczesnej metodologii odgrywać coraz większą rolę; tymczasem wiedza o retoryce jest, nawet wśród badaczy, nie mówiąc o nauczycielach czy studentach, nader skąpa, by nie rzec po prostu: żenująco uboga.

6. Odpowiadam tu w nieco innym porządku, niż to sugerują pytania.

Przed wszystkim za najpilniejszą potrzebę uważam szybkie, staranne, poprawne, ale niekoniecznie pod względem edytorskim "wyrafinowane", wydania pisarzy pierwszorzędnych i drugorzędnych XVI wieku. Nie miejsce tu wywodzić, kogo uznajemy za pisarza pierwszego rzędu, a kogo umieszczamy w rzędzie drugim, jest to bowiem szczegółowy problem, o którym wypadnie dyskutować dopiero wtedy, gdy się przyjmie, że w ogóle trzeba sporządzić dwie listy: 1) pisarzy, których trzeba wydać w edycji kompletnej, i 2) pisarzy, których trzeba udostępnić w wyborze. Właśnie: udostępnić. Niżej podpisany jako autor "Renesansu" był nieraz w poważnym kłopotcie, gdy wypadło mu cytować nawet Reja, nie mówiąc już, na przykład, o Zbylitowskim. Wydania sprzed kilkudziesięciu lat, do tego nieporządne, nawet w mieście uniwersyteckim bywają trudno dostępne. Jak wygląda praca dydaktyczna w tych warunkach, nie warto nawet mówić.

To, co proponuję, nie wchodzi w kolizję z Biblioteką Pisarzy Polskich i z Biblioteką Narodową, lecz winno te dwie serie uzupełniać. Biblioteka Pisarzy Polskich budzi najwyższy szacunek z racji swego naukowego poziomu, ale właśnie z tego względu może przyrastać powoli. Biblioteka Narodowa nie wydaje ani pism wszystkich, ani nie byłaby skłonna sięgać po pisarzy drugiego rzędu. Nie widzę powodu, aby skłaniać tę zasłużoną serię do zmiany tradycyjnego profilu. Dam przykład: Biblioteka Narodowa powinna pozostać przy wyborze "Pism wierszem" Mikołaja Reja (powinna je może wznowić), przeznaczonych do lektury obowiązkowej studenta, ale ktoś musi wydać Rejowe dramaty. Wyjdą zapewne w Bibliotece Pisarzy Polskich, ale kiedy? Kiedy już wyjdą, będą zapewne prezentować najwyższy poziom edytorski. Tymczasem jednak potrzebny jest "Kupiec", potrzebny "Żywot Józefa", potrzebne "Satyry" Bielskiego. Pod względem repertuarowym proponowana przeze mnie seria przypominałaby BPP Akademii Umiejętności. Podkreślam: pod względem repertuarowym, bo aparat krytyczny byłby oczywiście na wyższym poziomie. Przestrzegałbym tylko przed akrybią filologiczną, która przegrywa w zawodach z czasem.

Ten punkt szczególnie dobitnie podkreślam. Cokolwiek bowiem sądzić o możliwościach planowania w nauce, to nie ma wątpliwości, że właśnie edytorstwo nie tylko dobrze znosi planowanie, ale wręcz samo się upomina o instytucjonalne kierowanie. Tu można przewidywać, obliczać czas i siły, z małym stosunkowo prawdopodobieństwem niespodzianki i pomyłki. Pracownia Staropolska IBL powinna traktować plan edytorski jako swój obowiązek. Może przecież liczyć nie tylko na swoje siły etatowe, ale i na liczne grono pracowników uniwersyteckich, którzy biorą udział w systematycznie organizowanych zebraniach.

Jest jeszcze jedna możliwość udostępniania tekstów rzadkich: wydania kserograficzne. Dla celów dydaktycznych na uniwersytetach kserografuje się artykuły sprzed paru nawet lat. Robimy to z konieczności, ale z pewnym zawstyżeniem, bo student powinien dostać do ręki książkę, a nie spięty spinaczem plik. Otóż wydaje mi się, że przy pewnej sprawności po prostu introligatorskiej odbitki kserograficzne mogłyby zastąpić edycje dzieł rzadkich, a zarazem "seminaryjnych", a więc potrzebnych tylko specjalistom i z góry obliczonych na niskie nakłady. Sprawa technicznie

jest prosta – najtrudniejsza jest tu, jak zwykle u nas, strona administracyjno-formalna: kto to ma robić i kto sprzedawać? Najprościej by było wejść w porozumienie z Biblioteką Narodową i dostarczać takie kserogramy subskrybentom, w zasadzie bibliotekom zakładowym i pracownikom naukowym. Nakład 100-200 egzemplarzy czyniłby przedsięwzięcie opłacalnym, a nadruk "do użytku służbowego" pozwoliłby ominąć obrót księgarski i uprościł drogi proceduralne.

Przechodzę do problemów bibliograficznych. Pytanie e) brzmi: czy potrzebny permanentny "Nowy Korbut"? Jeśli to ma znaczyć, że trzeba co jakiś czas wznawiać "Korbuta" – po uzupełnieniach i poprawkach – to odpowiadam: nie. Natomiast sądzę, że co jakiś czas należałoby wydawać aneksy do poszczególnych części (częścią nazywam te kilka tomów, które obejmują tradycyjnie wyodrębnioną epokę, a więc w wypadku staropolszczyzny tomy 1–3). Mogłyby zawierać corrigenda do bloku I i II (biogramy i bibliografia podmiotowa), ale przede wszystkim podawałyby narosłe informacje w bloku III (bibliografia przedmiotowa). Ten blok zresztą pośrednio by informował o zmianach w stanie wiedzy opisanym w bloku I i II. Takie uzupełnienia "Nowego Korbuta" powinny się ukazywać co dziesięć lat mniej więcej. Oczywiście zbyt liczne aneksy do aneksów czynią użyteczność tego rodzaju uzupełnień nader wątpliwą, te wątpliwości wkraczają już jednak w wiek XXI, który sobie pewnie lepiej poradzi z informacją naukową. Ale to już teren science-fiction.

"Polska bibliografia literacka" jest nieocenioną pomocą, ale ma już pewne wady, przez siebie nie zawinione; jest przede wszystkim coraz bardziej opasła skutkiem bardzo szerokiego zakresu materiałów. Trzeba odpowiedzieć: czy PBL ma być podręczną pomocą dla badaczy literatury, czy też obrazem życia kulturalnego współczesnej Polski? Jestem daleki od lekceważenia radia, telewizji, świetlic, spotkań autorskich, ale wydaje mi się, że informacja o życiu literackim w miasteczku nad Wkrą, artykułiki trzeciorzędnych dziennikarzy, elementarne wiadomości o sztuce zawarte w programach teatralnych niepotrzebnie obciążają PBL. Niektóre minione roczniki są podwójne – muszę wyznaczyć, że wolę je od pozostałych, bo łatwiej (szybciej) dociera się w nich do informacji poprzez indeks, wspólny dla dwu lat. Przy obecnej jednak objętości nie ma co

marzyć o "dwurocznikach". Nie wiem, jak to zrobić, ale chciałbym mieć w ręku jeden indeks do dostatecznie dużej partii PBL.

Skoro jestem przy bibliografiach, pozwolę sobie na kilka krytycznych uwag o "Słowniku współczesnych pisarzy" (choć rzecz wykracza poza wyznaczony temat renesansu). Jest to publikacja cenna, chociaż zrobiona nieporządnie. Procent błędnych (potem sprostowanych i nie sprostowanych) informacji wykracza poza granicę dopuszczalnego i zrozumiałego marginesu pomyłki. Od biedy można zdobyć się na tolerancję dla niezbyt uważnego bibliografa, nie można natomiast spokojnie myśleć o koncepcji "Słownika", w którym są liczne zbyteczne hasła autorskie, nie ma natomiast wybitnych pisarzy - dlatego tylko, że debiutowali po wyznaczonym arbitralnie roku. Nie warto by było wracać do tej sprawy, gdyby nie projekt wznowienia, który oby nie powtórzył poprzednich błędów.

7. Szkolenie specjalistów w mojej dziedzinie w zasadzie nie różni się od kształcenia pracowników nauki w innych specjalnościach literackich, może jedynie pewne niedostatki ogólne ujawniają się w dziedzinie staropolszczyzny w sposób szczególnie jaskrawy. Tu bowiem dają się odczuć boleśnie braki klasyczo-humanistycznego nauczania w szkole średniej: choćby powszechna niezajomość łaciny.

Sądzę, że przyszłych pracowników nauki powinno się kształcić wyłącznie na studiach doktoranckich w Instytucie Badań Literackich i na uniwersytetach. Asystentura jest w tej chwili formą zawodną i przestarzałą. Angażowanie asystenta tuż po studiach jest prognozowaniem połączonym z ryzykiem poważnego błędu, i to błędu w jakimś tam procencie nieuniknionego. Błędu tego nie można poprawić przed doktoratem, na którego zrobienie asystent ma osiem lat. System rotacji przewiduje wprawdzie ponawianie nominacji najpierw po roku, potem po upływie trzech lat, ale nie znam przypadku zwolnienia asystenta, jeśli ten nie popełnił jakiegoś szczególnie nagannego czynu. Dopiero brak doktoratu po ośmiu latach może być powodem rozwiązania umowy. Tymczasem nieraz właśnie doktorat jest najwyższym pułapem możliwości adepta i należałoby się po obronie pracy doktorskiej z asystentem rozstać. Z zasady jednak następuje wówczas nominacja na adiunkta, który często staje się adiunktem

wiecznym lub otrzymuje - z ludzkich, charytatywnych względów - stanowisko starszego wykładowcy. Znam wiele takich wypadków.

Angażowanie natomiast asystentów po paru latach pracy poza uczelnią (na przykład w szkole średniej) jest po prostu marnotrawieniem ludzkiego czasu, czyli - prościej, choć wznioślej mówiąc - ludzkiego życia. W Polsce ludzie żyją tak samo długo, w każdym razie nie dłużej niż za granicą, ale z reguły później zdobywają stopnie i tytuły naukowe. Do habilitacji powinno się dochodzić krótko po trzydziestym roku życia.

System studiów doktoranckich natomiast daje możliwość starannej i ważnej selekcji. Część byłych uzdolnionych studentów okaże się tylko "dającymi się łatwo uczyć" - ci do doktoratu nie dojdą i takie straty należy w kalkulować. Część otrzyma zasłużony stopień, ale nie zostanie na uczelni czy w instytucie. Nie trzeba będzie jednak żałować wysiłku, bo z tej grupy powinni się rekrutować nauczyciele pomaturalnych szkół przygotowujących na studia. Od tych najzdolniejszych, którzy pozostaną na uczelni, będzie można oczekiwać w ciągu kilku lat habilitacji.

Nie należy prowadzić na studiach doktoranckich żadnych wykładów, jedynie seminaria i hospitacje. Oczywiście studia doktoranckie powinny obejmować praktykę dydaktyczną - ale nie dziewięć godzin tygodniowo, co w tej chwili stanowi pensum asystenta i co skutecznie odwleka przewód doktorski. Zresztą nie tylko liczba godzin tu przeszkadza, lecz także, czy może przede wszystkim, dostosowanie programu zajęć dydaktycznych do potrzeb "produkcji", a nie do potrzeb kształcenia przyszłego pracownika nauki. Doktorant mógłby w sztukę dydaktyczną wchodzić stopniowo i planowo, wedle reguł przedmiotu i dobrych obyczajów pedagogicznych. Nauczyciela szkoły średniej dzieli od jego uczniów czas sześciu lat, asystent zaś uczy natychmiast swoich byłych kolegów, o dwa-trzy lata za ledwie młodszych. Staram się zawsze młodymi adeptami obsadzać zajęcia na I roku, tak aby słuchaczy od nauczyciela, dumnie zwanego "akademickim", dzielił odstęp co najmniej czterech lat, ale nie zawsze mogę przestrzegać tej zasady (na I roku, na przykład, nie ma zajęć z przedmiotu, który będzie specjalnością asystenta). Zresztą, nie wiem, czy należy oddawać niedoświadczonego studenta w ręce niedoświadczonego dydaktyka.

Wszystkich tych trudności dałoby się uniknąć poprzez studia doktoranckie, które wymagają niewielkich nakładów finansowych. Nakłady te zresztą bardzo szybko się zwracają.

8. Szkolenie pracowników nauki zależy od wcześniejszego szkolenia zawodowego. Ankieta pyta o kierunki pożądanej ewolucji uniwersytetów. Jakże tu mówić o przewidywanym kształcie uczelni przyszłości, kiedy wiosną nie można planować zajęć na jesień, ponieważ z roku na rok zmienia się program! W tej chwili (wraz z zaocznymi studiami i przejętymi przez uniwersytet WSN-ami) obowiązuje osiem programów. Broniąc się przed nieustannym udręczeniem zmianami, trzeba mieć oczywiście wizję przyszłości.

Przede wszystkim nie sędzę, jak to czynią niektórzy publicyści, że uniwersytety powinny być szkołami elitarnymi, nadwyższymi, egzystującymi obok wyższych szkół zawodowych: uniwersytety powinny pozostać tradycyjnie zakładami kształcenia nauczycieli, co wcale nie przeszkadza w pełnieniu przez nie wysokich funkcji intelektualnych. Więcej, właśnie nauczyciele, którzy po paru latach będą musieli się przekwalifikować czy dokwalifikować, jako że postępy nauki bardzo szybko dezaktualizują wiedzę wyniesioną ze studiów, powinni studiować na uczelniach zdolnych do wychowywania otwartych, operatywnych, wrażliwych na nowatorstwo fachowców. Jestem w zasadzie przeciwny Wyższym Szkołom Pedagogicznym: jeśli mają ten sam program, to czym się różnią od uniwersytetów? Gorszą kadrą? Niekompletnym składem wydziałów? Większą ilością praktycznych zajęć pedagogicznych? Ostatnio na uniwersytetach wprowadzono dwie specjalności (już od I roku): pedagogiczną i kulturalno-oświatową. Mniejsza liczba miejsc na tej drugiej specjalności natychmiast doprowadziła do negatywnej selekcji na kierunku pedagogicznym – podział zbyt znaczny na latach niższych, a może w ogóle zbędny. Nic nie zaszkodzi, jeśli przyszły dziennikarz, krytyk, człowiek teatru, działacz oświatowy czy tp. przejdzie praktykę pedagogiczną. Skutek negatywnej selekcji już jest widoczny: przyszłych pracowników naukowo-dydaktycznych trzeba będzie rekrutować z kierunku niepedagogicznego, bo na nim są ludzie po prostu zdolniejsi.

Przy obecnym programie nauczania w szkole średniej i przy nie za-

powiadającym zmian na lepsze programie studiów prowadzenie seminarium magisterskiego z zakresu staropolszczyzny jest szczególnie trudne w porównaniu z innymi epokami. Jeszcze trudniej rekrutować tu przyszłych adeptów nauki. Istnieją wprawdzie tzw. studia indywidualne, ale polegają one na tym, że tym nielicznym wolontariuszom po prostu dokłada się kilka dodatkowych godzin zajęć.

Studia indywidualne to świetna idea; szkoda by była niepowetowana, gdyby pozostały w tym kształcie, co teraz. Po pierwsze, na studia te należy brać naprawdę zdolnych studentów II-III roku, a nie studentów ze średnią stopni powyżej czwórki. Premiuje się przeciętnych, grzecznych, bezmyślnych prymusów, zamiast opiekować się ludźmi utalentowanymi, którzy raz są świetni, a innym razem się potkną. Po drugie, trzeba pozwolić, aby opiekun studiów (za zgodą Rady Naukowej) zwolnił studenta indywidualnego z pewnych zbytecznych przedmiotów za cenę przedmiotów nowych, tradycyjnie na tej sekcji czy na tym wydziale nie uprawianych. Po trzecie wreszcie, trzeba zapewnić możliwość wyjazdu na inną uczelnię lub do IBL choćby na parę tygodni dla uzupełnienia wiedzy i sprawności u innego specjalisty.

Przykładowo: studia indywidualne przygotowujące specjalistów w dziedzinie staropolszczyzny miałyby obszerny kurs łaciny, historii starożytnej, historii filozofii i religii. Ale jeśli ma się to zmieścić w czterech czy nawet - miejmy nadzieję - w pięciu latach, słuchacz musi być zwolniony z innych przedmiotów. Zwolnienie to powinno być dwojakie: a) całkowite, b) zwolnienie z uczęszczania z obowiązkiem zdania egzaminu.

9. Stan wyposażenia uczelni w pomoce naukowe to zwykły skandal. Instytut Filologii Polskiej w Poznaniu, gdzie studiuje ok. 1000 studentów (wraz z zaocznymi), może wydać na książki rocznie 80 000 zł. Podręczniki, serie Biblioteki Narodowej, "Profile" czy Biblioteka "Polonistyki" to jeszcze nie problem. Problemem są wskazywane jako lektura obowiązkowa artykuły w czasopiśmie i w małonakładowych wydawnictwach zbiorowych. Artykuły takie zostają szybko "zacytane". "Pamiętnik Literacki" przysyła nieraz nadbitki działu przekładów, ale kilka egzemplarzy nie wystarczy dla masy studentów, nie mówiąc o tym, że trudno przewidzieć, który artykuł się "sprawdzi". Rozwiązaniem byłoby wyda-

wanie antologii prac naukowych. Świetna "Współczesna teoria badań literackich za granicą", skończywszy przegląd systematyczny, mogłaby się stać wydawnictwem ciągłym. Autor antologii ma oczywiście prawo strzec nazwy i koncepcji, toteż moja propozycja nie jest aneksją. Chodzi o to, by wydawać monotematyczne lub też politematyczne tomy "Najnowszej teorii badań literackich". Może niekoniecznie "najnowszej", jako, że mamy w tym względzie jeszcze zaległości, ale w każdym razie powinna pojawić się taka seria.

W ogóle jestem zwolennikiem wydawania antologii opracowań naukowych, w każdym razie taką potrzebę dyktuje mi praktyka dydaktyczna. Obok "Współczesnej teorii badań za granicą" potrzebna by była "Współczesna teoria badań w Polsce", która by obejmowała prace już opublikowane w czasopiśmie lub księgach zbiorowych, prace, które się sprawdziły, a są trudno dostępne. Tytuł "teoria badań" nie jest najszcześniejszy, chodziłoby mi bowiem o przegląd najnowszego stanu badań w różnych dziedzinach. Z dorobku konferencji IBL dałoby się wykroić dwa czy trzy tomy takiej współczesnej polskiej myśli polonistycznej.

10. Stan informacji naukowej o pracach krajowych jest zadowalający: "Biuletyn Polonistyczny" spełnia swoją rolę. Natomiast fatalny jest stan informacji o badaniach zagranicznych. Ograniczenia dewizowe bibliotek uniwersyteckich, niesystematyczny dopływ katalogów księgarskich, żółwie tempo zakupów – wszystko to powoduje dezorientację i znacznie utrudnia pracę badaczom, szczególnie mieszkającym poza Warszawą. Pilną koniecznością jest wydawanie jakichś "Reader's Digest" z zakresu światowej nauki o literaturze. Oczywiście nie jest to łatwe zadanie, ale gdyby takowe "Digesta" wychodziły choćby w zakresie stanu nabytków biblioteki IBL, byłyby już cenną pomocą i wyręką.

Moja odpowiedź na ankietę mija się poniekąd z jej intencją: nie umiem nakreślić planu-wizji, planu-marzenia, "do którego dopiero zostaną przymierzone aktualne możliwości polonistyki" (jak pisze list przewodni). Są dwie taktyki gry (w szachy czy cokolwiek innego): pierwsza zakłada strategię dalekiego celu, druga widzi kilka ruchów wprzód; pierwsza imponuje wizją i konsekwencją, dzięki którym prowadzi do wygranej, ma wszakże jedną wadę, że z trudem dopuszcza niezbędną korektę; opowia-

dam się za taktyką drugą, w którą wpisana jest możliwość manewru i adaptacji. Może nie mam wyobraźni futurologicznej. Odpowiedziałem tak, jak bym na podobną ankietę odpowiedział dziesięć lat temu. Co to znaczy? To znaczy i świadczy zarazem źle i dobrze o naszej polonistyce: źle, bo nie zostały wypełnione takie podstawowe obowiązki, jak zaopatrzenie uczelni w podręczniki, lektury, monografie; dobrze, bo w ciągu ostatnich dziesięciu lat pojawiło się wiele prac indywidualnych i zbiorowych, prezentujących wysoki poziom światowej humanistyki. Prace te były poniekąd nieprzewidywalne i "nieplanowalne", ale przewidywalny był stan dialogowej gotowości.

Prof. dr hab. Jerzy Ziomek

BADANIA NAD LITERATURĄ POLSKĄ OKRESU BAROKU

1. Odpowiedź na pierwsze pytanie, dotyczące głównych problemów badawczych w zakresie literatury polskiego baroku, musi być poprzedzona sformulowaniem paru wstępnych założeń.

Przed współczesnym badaczem staropolszczyzny zdają się rysować dwie możliwe wizje historii literatury. Pierwsza z nich opiera się na dotychczasowej tradycji naukowej, odpowiada zespołowi ugruntowanych przyzwyczajęń intelektualnych, posiada znakomite - niedawne - osiągnięcia w postaci syntez podręcznikowych. Podstawową jednostką opisu tego typu historii literatury jest twórczość pisarza ujęta jako niepowtarzalna całość. Suma sylwetek twórczych poszczególnych autorów - grupowanych zazwyczaj w oparciu o pewne analogie artystyczne i światopoglądowe (np. poeci metafizyczni) czy też na podłożu wspólnoty czasowej i kulturowej (np. poeci dojrzałego baroku, poeci późnego baroku) - składa się na obraz literatury epoki. Zazwyczaj tylko w przypadku wyraźnie rysujących się bloków zjawisk literackich, niedostatecznie zindywidualizowanych autorsko (np. prozy fabularnej, poezji popularnej, dramatu szkol-